

Maciej Melecki

Przedłużenie

Tęcząca pustka. Minione i obecne. Podcięta różnica, zaostroszony
Zapach prochu próżni. Gdzie jesteś, skoro niczego nie
Zaznałeś, przewlekłe widzialny tylko w szczelinie
Najbliższego nieba, nie mogący przemóc głodu jej cienia,
Zamazany od wewnątrz. Ruszamy i zostajemy. Urodziny
Trwają. Bohaterka dba o prowiant. Sączy się neonowy
Szlaczek dookolnej szarości. Zamieniamy się miejscami, chodzimy
Po wszystkich pokojach, ociosujemy mgłę, na dworze szklana
Wata powietrza. Jesteśmy, choć nikogo już nie ma. Byłem
W podróży, w której mnie zniosło, miasteczka leżały
Jak porzucone narzędzia, każdy się w nich pochylał nad listkiem

Strawy, nad dachami przeleciał balon, ktoś machał za nim
Chustką, poręcze twardniały. Tyle mgnień, wyraźnych
Widm, śrutów porzuconych w zaroślach, strzałów i potknięć o suche
Korzenie, tyle niczego innego, mnogości próżniaczej,
Mydlanych baniek w dłoniach. Ten i inne rewiry, mary
Konkretniejsze od szorstkich desek. Masz już upatrzoną sukienkę
Na ślub? Mieliśmy wszak świadkować wspólnie, nakładać
Obrączki obietnicy echa, mieliśmy wieść swobodniejszy
Żywot od innych, żywcem zakopanych w słonecznych
Bruzdach zdeptanej plaży. Komunikacja ślepego losu,

Płynne połączenia z antresolą zaświatu, wytracona
Nawigacja dalszego zapierania, obstawania przy swoim.
Płoty mają sporo kul. Dziury są chłonne, dni jak zapadnie,
Godziny wyprężone jak sznur. Komu już się skończyła
Szansa, kto nie wykorzystał jej drogocennych mocy, kim
Się teraz ludni, skoro takie szanse nie zdarzają się nikomu?
Szansa zmarnowania wszystkiego. Co więc jest takiego
W tym kąsaniu nadzieją, wprzód wpisanej w zaplecione
Ogniska sfer, których przedłużeniem są promienie kół bólu,
Szarpaniu jak uporczywe karmienie, skoro od dawna już nie jest
Bliską niecką dla każdego wejrzenia, rozproszona i nierzadko

Porzucona? Zostaję na pustym kwadratowym placu, oparty o
Drewnianą ławkę, na południu i w poprzek, zostaję i ulatuję w
Każdy kąt padania. Niespieszny czas, wykasowane racje,
Poniechane prośby, przepowiednie nie oparte o nową linię życia,
Daremne jak perz. W dole i w górze nikogo. Ten moment jest twoim
Wianem, którego nie wnosisz nikomu, nie zostawiasz pod drzwiami.
Rosną tedy do ciebie, choć ty wciąż malejesz, ukryta w
Zakamarkach najbliższego jęku, prędze piekającej na niewidzialnej
Twarzy nieba, i nie tylko poprzez skrzypnięcia odnajduję cię
W świeżych śladach na mokrej trawie, bo wiem, że nie tylko
Z wahań żyjesz, skoro nic nie waha się temu przeczyć.

Maciej Melecki

Ściany dna

Ledwo wyczuwalne szczątki każdego dnia, schowane jakby w Pudełku na strychu, emanują potrzebą przypomnienia o tym, z Czego pochodzili, z jakiego bloku tygodni rozprysnęły się, potknięte zaraz Przez pracowity rozkład chwil, i teraz z powrotem zagarniane, Gromadzone, kierunkują nową potać pustki, w którą już się Weszło, koziołkując przez sen ze zbocza wywołanego echem. Kim się jest w tym wirującym ubywaniu? Kim jesteście po nadzianiu Na rozpędzoną oś zaniku? Parne dni nie zmierzają do żadnego Celu. Szarpane burzami ulatują szybciej dzięki licznym bajorom i Wartkim strumieniom, są jak cukrowa wata oblepiająca spoconą Twarz, która chce się zasłonić przed tumanem twarzy podczas Dni miasta, fetowania kolejnego roku, u progu nowych wakacji, Które już odjeżdżają w wagonach i bagażnikach w pleśniejące Strony rozświetlonych nocy, w odpoczynek przed czyhającym końcem, Przechrzaniem rozłąki z życiem, przynajmniej na moment niewuagi. Ale to się notorycznie tylko powtarza. Zmiana nie istnieje jako fakt. Skrzydła motyla są jeno przynętą dla szpilki. I tak było też Z tobą, po każdym potknięciu czy ekstatycznym przeżyciu, kołowałeś Wokół jednej czy dwu spraw, reszta była niewiele obchodzącym Cię tłem, marginalnym obierkiem porzuconych chęci czy Marzeń, zawsze chodziło bowiem o teraz, o ten moment łamiący Zbutwiałą deskę czyichś racji, dzięki czemu rósł poziom kolejnych Fascynacji bzdurami snutymi przez cudze, na wpół blade usta, i zamiarom Przyglądania się tej farsie nie można było sprostać, zawsze coś ulegało Wygładzeniu, napięciu rogów tego prześcieradła, tak by ogólnoludzka Flauta mogła pokryć każdy szorstki korzeń, ściąć gałąź smutku Wystającą z oczu kogoś, kto był tylko na chwilę pilotem swojego Lotu ponad przeciętnym rumowiskiem błędnych gwiazd, ściągniętych Przez sieć bieżących i miałkich potrzeb ludzi swojego pokroju. Ściany te, Nacierające na siebie, tworzą kalejdoskop przeżyć każdego, kto uważał,

Że nic nie stoi mu już na przeszkodzie, mogąc wszak swobodnie poruszać się
Po swoim torze, na bieżni sinych porachunków ze swoim tępym losem,
A jednak, pułapka była jego przeznaczeniem, utkwieniem w ulicznym korku
Bez daty czy godziny. Decyzje są koniecznością iluzji wyboru. Dna
Plenią się w każdym kroku. Egzotyczne widoki są widokami odmiennych
Uwarunkowań i wyobraźni wyzwalonej poprzez przymus oddawania czemuś
Czci, piękną powłoką, za którą czai się krew. W tej loterii nie ma
Przeigranych. Wygrywa każdy. Każdy bowiem otrzymuje coś z niczego, niekiedy
Większą ilość przedmiotów, niekiedy robaczywych wizji, dla porządku
Nazywając się przegrany, potraktowanym niesprawiedliwie, jak wysuszony
Czy spalony kłos. Breja szczęścia wchłania najmniejszy okap prawdy,
Kiedy wytapiane są przypadki nieszczęść z powodu braku czy
Nadmiaru, przyboru absurdalnych tez o potrzebie jak najmniejszej szkodliwości
Narodowego dobra, czy coś w tym stylu, a każdy już wie, że przegrywa
Tylko z czasem, w tej swojej chaotycznej gonitwie za lukrowanym przedziałem,
Gdzie domowe pielesze osuwają się z każdym dniem w jar pustki,
Podchodząc pod cmentarne mury, i w urnie swego powidoku już mieszka.
Mądry lud nauczył się swojego kroku, sączy swoje powietrze, oddycha swoją
Pianą, każdego z osobna nazywając podług katalogu figur marnego
Horoskopu szczęścia, podkradając innym chybczący się trop. Ściany schodzą się
Nadal. Cierpie dno. Wybaczyć sobie, nie rozszerzając zakresu fał potliwej
Nocy, co to już obróciła się w smętny cement poranka, wiązałoby się
Z odkryciem nowych fasad, przywdzianiem tekturowych masek. Tam rośnie tylko
Krach. Poziomuje się cień. Przywleczony wrak nowej strony, kiedy nie paruje
Gestem żaden wybór, kończąc się tylko rysą na brzegu ramy okna, przez
Które wejrzał oset cienia, zaczyna wychodzić poza roztrzęsiony kadr. Czego jeszcze
Nie masz, czym się nie zadławiłeś, czyż nie życzyliśmy ci wszystkiego najlepszego,
W bród, w bród samych dóbr? Nie wiadomo, jak przerwać ten gambit. Nie wiadomo,
Jak wymanewrować, by pierzchnąć z tego doku, skoro dookoła są tylko ściany,
Mniejsze i większe, grodzące i płynnie przechodzące w inne arterie, bez widoku na
Krater czy szczyt alpejskiego wielotysięcznika, bo trzeba by było raz jeszcze
Zacząć od momentu wyjścia zza rogu, aby omieść naraz całą krasę dni w ich beztadzie,
A tymczasem chmury zawisają nagle nisko i wszystko natychmiast zawłaszcza szkwał.

Maciej Melecki

Rozdanie

Przez kogo i w jakim celu został wypatrzony tam, na styku
Paru krawędzi, w zamieci lodowatych świateł, ustrzelony
Słonką słońca w autobusie, w godzinie nie swojego szczytu,
W karnawałowym smutku, kiedy pozorny spokój
Równoważę groteskowa groza. Rozdeptane buty i niedokręcony
Kurek. Rupieciarnia małowównych przedmiotów, garda
Dla światła i świata ścieśnionego w kokon miasta.

Jak zagadka zamorskich kolonii, spływa w czyjeś, utkwione
W jego cieniu oczy, nieme jak chudy ogień z przełamanej
Zapałki, stając się w nich na tyle przezroczystym, że każda
Sekunda rozmowy zamienia się w dymiące pasmo, ów
Namacalny, jedyny po nim ślad. Zgrzyt akordów,
Zagęszczone uliczki, tykający zew, spłaszczona
Perspektywa i wyleniałe w niej obrazki późniejszych,
Dławionych strat. Wypatrzony po nic, zauważony w odbiciu,

Przeszły niczym niska mgła, właśnie teraz, w jedni
Stromych żywiołów, lejowatych miejsc, z których nie wyziera
Już kusząca przekroczeniem smuga. Co pokona tę cierpką
Moc zanikania? Co pochłonie ten jadowity szum, skoro
Sterowanie bliskimi i dalszymi planami nie przenosi
W inne strony, w inne, ślepe pustkowia? Pamiętacie wszak
Lepsze czasy, pamiętacie gładsze osuwanie, pamiętacie
Siebie niezgarbionych, na brzegu kołowrotu, kiedy

Byliście rozpyloną mrzonką przyszłych, rozluźnionych
Siebie, w klatkach nie mniejszych od kątów, które was
Scaliły w błędny promień koła. Jaka postać, taka plama.
Bezwolna kolej waszych rzeczy mknie po zakrzywionym
Torze, i tak rodzi się ta żwawa czeluść, i tak spętza
Na niczym ten nawias czasu, uchylony po omacku w kapsułce
Ciszy, w tasujących się momentach gry o jeszcze jedno rozdanie.